Nro 23
ROZMAITOŚCI WARSZAWSKIE.
Utile Dulci.
PISMO DODATKOWE
DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO.
we Środę dnia 13 *Czerwca* 1827

Jutro iako w uroczyste święto Gazeta Korrespondenta niewyydzie.

I.

RYP VAN-WINKL,

Powieść Gminna Waszingtona Irwinga, z dzieła: The Skeetch book.

Kto odbywał podróż rzeką Hudson, pamięta zapewne, góry Katskil. Są one oderwaną gałęzią wielkiego Apalaszaskiego łańcucha i ciągnąc się w dół rzeki ku zachodowi, wyniosłemi wierzchołkami wspaniale nad całą okolicą panuią. Każda pora roku, każda zmiana powietrza, każda godzina nawet, zmienia ich kształt i koloryt czaruiący; a wszycy sąsiedni i oddaleni wieszczbiarze uważaią ie za barometr doskonały. Kiedy iasna trwa pogoda, ich postać, siniawą purpurą powleczona, w wyraźnych obrysach odbiia się na letniém niebios sklepieniu. W innym czasie, kiedy tło nieba i blaskiem oświecone góry w ieden zlewaią się widok, z ich wierzchołków występuią mgły śniadawe, snuią się w pasma i płonąc ostatnim promieniem zachodzącego słońca, iakby wieńcem sławy otaczaią ich czoła.

Podróżnik, rozważaiąc sielski widok, od gór sinieiących w dali żywą zielonością oddzielony, postrzega lekkie zwoie dymu, unoszące się ponad domami, których pokrycia z dachówek migaią pomiędzy gęstemi krzewy. Jestto mała starożytna wioseczka, założona przez hollenderskich osadników, w pierwszych czasach zamieszkania téy okolicy, kiedy ieszcze dobry Piotr Stiuj Wesant (wieczny iemu pokóy) rządzić tu zaczynał. Rodziny pierwiastkowych założycieli dotąd ią zaymuią, mieszkaiąc w domach późniéy zbudowanych, z małych żółtawych cegiełek, z Hollandyi sprowadzonych.

W téy wioseczce, w iednym z tych domów (prawdę mówiąc, nie bardzo latami oszczędzonym) mieszkał prosty syn przyrodzenia, na imie Ryp-van-Winkl. Byłto potomek van-Winklów, słynących z waleczności za rycerskich czasów Piotra Stiui Wesanta i wspieraiących go podczas oblężenia twierdzy Krystyny. Ale Ryp nie wiele odziedziczył męztwa przodków swoich: iakem iuż powiedział, był on prostym, niepragnącym znaczenia człowiekiem; z tém wszystkiém miał sławę dobrego sąsiada, uległego i posłusznego małżonka. Te przymioty, będąc

źródłem łagodności, zjednały mu powszechne przywiązanie. Wszyscy ci, co w familiynėm pożyciu zostaią pod rządem domowéy megery, zawsze są usłużni i grzeczni dla obcych. Ich ponurość i nietowarzyskość, przetopione w hucie domowych swarów, zamieniaią się w giętką uprzeymość, a iedno porządne wyłaianie częstokroć daleko mocniéy skutkuie, niż wszystkie na świecie zachęcenia do łagodności i cierpliwości. Jeżeli więc zgryźliwą żonę można nazwać pożyteczną mistrzynią, Ryp-van-Wikl w swoiéy do zbytku to szczęście znaydował.

Bydź może, że dla tego miał on wielką łaskę u wszystkich kumek sąsiadek, lubiących wdawać się w poróżnienia domowe. Nic im nie przeszkadzało podczas wieczornych schadzek, rozbieraiąc sprawy tego rodzaiu, zwalać całéy winy na panią van-Winklową. Dzieci tamteysze wykrzykiwały z radości, kiedy Ryp przychodził: on do ich zabaw należał, przewodniczył w igraszkach, puszczał papierowe żmije, wytaczał kaczałki, prawił bayki o strachach, duchach i Indyanach; a ledwie się w końcu ulicy pokazał, roie dzieci zbjegało się do niego, iedne czepiały się za poły, drugie mu na kark właziły, i rozmaite psoty warabiały bezkarnie. Żaden pies w wiosce nie szczekał nigdy na Rypa.

Naywiększą wadą w charakterze iego, był niezmierny wstręt ku wszelkim pożytecznym zatrudnieniom. Lecz to nie ztąd pochodziło, żeby mu brakło cierpliwości albo wytrwania: częstokroć bowiem cały dzień przesiadywał na mokrym kamieniu z długą i ciężką, iak dzida tatarska wędą, czekaiąc, azali choć raz iaka rybka nie targnie. Mógł on całe godziny włóczyć się ze strzelbą po lasach i bagnach, górach i wąwozach, żeby tylko ubić wiewiórkę albo dzikiego gołębia. — Nigdy sąsiadom w naytrudnieyszych robotach nie odmawiał pomocy; wesoło uwijał się na żniwie pszeniey, lub podczas zwożenia ciężkich kamieni do budowli; wszystkie kobiety z całéy wioski miały go na zawołanie do posyłek, kiedy iakiéy fraszki potrzebowały, a mniéy powolni właśni mężowie tego uczynić nie chcieli. Słowem, Ryp gotów był pracować dla każdego, tylko nie dla siebie. Opatrywać zaś potrzeby swoiéy rodziny, albo swóy dom w porządku utrzymywać, był mu to ciężar nad siły.

Powiadał on zawsze, że nie może dać rady swoiemu gospodarstwu, i w istocie gorszego w całéy okolicy nie było.— Wszystko tam szło nieporządnie albo wpadało w nieład mimo iego woli. Rozwalały się ściany mieszkania. — Krowy błąkały się po polu, gdzie która chciała, a ieśli były w domu, tratowały kapustę na ogrodach. Chwasty swobodnie krzewiły się na iego roli. Tym sposobem dziedzictwo Rypa przez niedbalstwo, schylało się do upadku. Ziemia tak zdziczała, że ledwo gdzieniegdzie można było zebrać kilka garści pszenicy lub trochę kartofli. Słowem chudszéy fortunki w całém sąsiedztwie nie było.

Dzieci Rypa tak były dzikie i obszarpane, iak gdyby do nikogo nie należały. Syn iego Ryp, kubek w kubek wdał się w oyca, i iak się zdawało czynił nadzieię, że ze starém iego odzieniem i iego zwyczaie odziedziczy. Ochutany w łachman starego oycowskiego kaftana, który musiał przytrzymywać rękoma, zawsze się iak kurczę za plecami matki ukrywał.

Mimo to wszystko, Ryp-van-Winkl, był iednym z owych szczęśliwych ludzi niedbałego i niewymyślnego charakteru,

którym wszędzie dobrze, wszystko im iedno, czarny, czy biały chleb iedzą, byleby tylko dostawali go bez pracy i kłopotu, wolą oni pościć o iednym pennie w kieszeni, niżeli na funt szterling zarabiać. Co do Rypa, sam ieden żyłby przyśpiewuiąc sobie, ale sekutnica żona ustawnie mu brzęczała nad uchem, że leniuch, że niedbalec, że cały dom zgubił. Rano, w południe, wieczorem, ięzyk iéy był iak na kołowrocie, i biedny Ryp cokolwiek zrobił, cokolwiek powiedział, zawsze i za wszystko dostawał się pod wodospad płynnéy wymowy swoiéy żoneczki. Na wszystkie takowe nawracania do cnoty, miał on tylko ieden sposób odpowiedzi, i ten przez częste użycie w nałóg zamienił, to iest: zżymał ramionami, kiwał głową, poglądał zyzem i nie mówił ani słowa. To zazwyczay podżegało nowy wystrzał dobitnych słówek, i iuż w tenczas musiał zdobywać się na ostatek męztwa i uciekać za drzwi: bo też w podobnych zdarzeniach ten tylko środek posłusznym mężom zostaie.

Jedynym towarzyszem Rypa w domu był iego pies Wolf, równie iak on uległy. Niemniéy także i gospodyni uważała Wolfa za wspólnika w lenistwie swoiego męża; dla tego więc nie bardzo łaskawie poglądała na niego, iako na powód częstéy Rypa włoczęgi; chociaż, prawdę mówiąc, żaden pies mniéy od Wolfa nie był straszny w myśliwskich gonitwach. Lecz iakież męztwo wytrzyma ciągłe i wszystko łamiące pioruny babskiego ięzyka! Wolf, skoro tylko wchodził do izby, zaraz przypadał na łapy, spuszczonym ogonem bił o ziemię, albo podkurczywszy go, z błagaiącym wzrokiem, zdaie się iakby iuż o winę przekonany, podpełzał do pani; nakoniec odebrawszy kilka szturchańców miotłą lub warząchwią, skowycząc, iak oparzony, wyskakiwał za drzwi.

Im daléy upływały lata małżeństwa, tym coraz gorzéy było Rypowi. Czas nie miękczy twardego charakteru, a ięzyk ostry iestto iedyne w świecie narzędzie, które przez ciągłe używanie coraz się ostrzeyszém staie. Lecz Ryp przywykł uciekać z domu i szukać pociechy w pewném posiedzeniu filozofów, polityków i tym podobnych próżniaków wioskowych, zasiadaiących ławki około iednego szyneczku postawione.

Tamto zazwyczay w chłodnym cieniu przepędzali długie, ociężałe dni lata, roztrząsaiąc plotki sąsiadów, albo opowiadaiąc nieskończone historye o tém, i o owém, i o niczém. Często polityka była przedmiotem ich rozmowy, i ieśli przypadkiem kto z podróżnych przyniósł im stare gazety, w tenczas głębokie uwagi ze wszech stron słyszeć się dawały. Z iakąż to uroczystą pilnością słuchali wszyscy, kiedy grzmiącym głosem czytał ie bakałarz szkółki Derrik-van-Bummelen, maleńki, krępy człowieczek. Jak rozsądnie i mądrze przepowiadali, że to lub owo, tak i tak stać się musi, a to iuż przed kilką miesiącami inaczéy się stało.

Powszechne zdanie téy junty zawsze czekało ostatniego wyroku Mikołaia Weddera, patryarchy wioski, gospodarza szyneczku, który niedaleko drzwi swoiéy gospody przesiadywał zwyczaynie od wczesnego ranku aż do późnego wieczora, i ciągle unikaiąc słonecznych promieni obracał się razem z cieniem stoiącego przed domem rozłożystego drzewa.

Ten ruch był tak regularny, że patrząc na niego, równie iak z naylepszego kompasu, można było zgadywać godziny. Rzadko w prawdzie słyszano głos Weddera, lecz iego fayka zastępowa-

ła wszystkie słowa; a iego zausznicy, na których wielkim ludziom nigdy nie zbywa, umieli poymować doskonale, iakie tém narzędziem ogłaszał zdanie. Jeśli to, co czytano lub mówiono, nie podobało się Mikołaiowi, mocno zapalał tytuń i częstém pykaniem rzucał daleko ciemne obłoki dymu; kiedy zaś co zasługiwało na iego uwagę, wtenczas zwolna i łagodnie ciągnąc lekki dymek, wypuszczał światłe wężyki: czasem cybuch z ust wyymuiąc pozwalał lubéy woni swobodnie snuć się około nosa i kiwaniem głowy oznaczał zupełne potwierdzenie.

Nakoniec i w tém czcigodném zebraniu kłóciła biednego Rypa swarliwa żona. Często wpadaiąc naruszała spokoyność całego towarzystwa i szanownych członków pozdrawiała imieniem wałęsaiących się próżniaków. Samemu nawet Mikołaiowi Wedderowi nie przepuścił ięzyk téy straszliwéy baby, bez naymnieyszego względu nazywała go wspólnikiem i przyczyną mężowskiego hultaystwa.

Biedny Ryp prawie do rozpaczy został przywiedziony, ieden środek uniknienia domowéy roboty i wrzasku żony, był ten: wziąć strzelbę i tułać się po lesie.— Tam nie raz usiadłszy pod drzewem dzielił się z wiernym Wolfem zapasem swéy torby. Poczciwy pies pobratał się z nim nieiakoś przez spólnictwo cierpień i prześladowania. »Biedny Wolf!» mówił Ryp— Twoia pani dała ci poznać prawdziwie psie życie; ale nie bóy się nieboraczku, póki ia żyię, ty masz przynaymniéy szczerego przyiaciela!'' Wolf, ruszał ogonem, wyrozumiale i łagodnie patrzał w oczy panu, i ieżeli pies podzielać uczucia może, to zapewne Wolf całem psiém sercem, był wzaiemnym Rypowi.

Pewnego razu włócząc się przez cały dzień iesienny, Ryp nie postrzegłszy się prawie, zawędrował na ieden z naywyższych wierzchołków grzbietu Katskil. — Długo częstemi wystrzałami mięszał ciszę téy ustroni, zmordowany wreszcie stanął na zielonéy płaszczyznie urwiska góry nad przepaścią zawieszonego. Ztamtąd pomiędzy gęste drzew konary wykradał się wzrok na wiele mil całéy pochyłości lasami pokrytych okolic Hudsonu, i sam Hudson płynący, spokoynym, ale okazałym biegiem, dawał się widzieć w oddaleniu. W iego kryształach powtarzał się blady szkarłat nieba, lub gdzie niegdzie biały żagiel statku, iakby drzymiącego na zwierciadlanéy powierzchni, która ginęła pomiędzy siwemi górami.

Z drugiéy strony przedstawiała się oczom u spodu gór dzika, samotna dolina, zasiana gruzami skał nad nią wiszących i tylko odbitym blaskiem zachodzącego słońca słabo oświecona. Ryp bawił się tak pięknemi widokami, a tymczasem wieczór coraz się przybliżał: iuż szare cienie od gór rzucone długiém pasmem przeciągnęły się na doliny, a iemu ieszcze daleko było do wioski. Westchnął wspomniawszy, że wkrótce znowu się rozpoczną iego katusze.

Z tém wszystkiém, zabierał się iść ku domowi; lecz zaledwo co zaczął spuszczać się na dół, iakiś głos nie zbyt oddalony zawołał na niego. Ryp spoyrzał na około i niepostrzegłszy nikogo oprócz kruka, lecącego swoią samotną drogą przez góry, pomyślał że mu się przesłyszało i iuż chciał ruszać daléy, kiedy znowu tenże sam głos powtórzył się w wieczorném powietrzu: »Ryp-van-Winkl! Ryp-van-Winkl!» Wolf, sierść naieżył, zawarczał głucho, i przelękniony tuląc się do pana dziko poglądał na dolinę. —

I sam Ryp strwożył się natenczas, a rzuciwszy wzrok w tymże kierunku postrzegł osobliwszą postać ludzką z iakimś ciężarem na schylonym grzbiecie, zwolna przebywaiącą skały. Widok człowieka w tak samotnéy i niedostępnéy dolinie zadziwił Rypa, lecz wnosząc sobie, że to może który z sąsiadów wzywa go na pomoc, spiesznie pobiegł ku niemu.

Skoro się zbliżył, ieszcze go bardziéy zdziwiła szczególna powierzchowność nieznaiomego. Był to nizki, pleczysty staruszek, z gęstym kędzierzawym włosem i siwą brodą; ubiór miał staroświecki holenderski — Kaftan sukienny, pas na kamizelce, dwoie spodni, a z tych wierzchnie niezmiernie szerokie, rzędami guzików po bokach i sprzążkami u kolana osadzone. Wędrownik niosący na barkach dużą i iak się zdawało, pełną beczułkę, dał znak Rypowi, żeby się przybliżył i pomógł mu dźwigać ten ciężar.

Chociaż nie z wielkiém zaufaniem, iednak ze zwyczayną sobie dobrocią, Ryp spełnił to żądanie, i tak wspieraiąc ieden drugiego szli daléy wązką rozpadliną, zapewne biegiem strumienia późniéy wyschłego utworzoną. Kiedy iuż spuścili się na dół, często dawał się słyszeć głuchy turkot, podobny do oddalonego grzmotu, i iak się zdawało wychodzący z ciasnego wąwozu, dokąd prowadziła ich kręta i niewygodna droga: Ryp chcąc, się lepiéy przysłuchać, zatrzymał się na chwilę, ale wkrótce pomyślił sobie, że zapewne deszcz peryodyczny, często w górach spadaiący, szmer ten sprawuie, i ruszył daléy. Przebywszy rozpadlinę znaleźli się na płaszczyznie, podobnéy do amfiteatru otoczonego stronnemi przepaściami u brzegu których wiszące drzewa, tak gęsto splatały swoie gałęzie, że wzrok ze wszech stron zamknięty, widział tylko niebiosa i czyste wieczorne obłoki.

Towarzysze drogi ciągle milczeli i Ryp miał dosyć czasu zastanawiać się nad tém, dla czego nieznaiomy niesie pełną beczułkę w tak puste ustronie. Dziwna ta i niepoięta czynność przeięła go iakąś trwogą i nieufnością.

Skoro wszedł na amfiteatr, nowe i również zadziwiaiące przedmioty uderzyły wzrok iego. Po środku na gładkiéy płaszczyznie towarzystwo ludzi podżyłych bawiło się grą w kręgle. Wszyscy byli w iakimś cudzoziemskim stroiu: iedni w kamizelkach, drudzy w kurtkach z długiemi kordelasami u boków, a wielu z nich podobnie, iak iego przewodnik, mieli spodnie niezmiernie szerokie. Ich fiizyonomie nie mniéy się szczególnością odznaczały. Jeden miał głowę ogromną, gębę szeroką, i małe świnie oczy. Cała twarz drugiego zdawała się bydź samym tylko nosem, wyglądaiącym z pod kołpaka do głowy cukru podobnego i ubranego w pióra kogucie. Wszystkich zdobiły brody rozmaitego kształtu i koloru. Nizki, zgarbiony wiekiem staruszek, w kamizelce sznurkami naszywanéy, z kordelasem u szerokiego pasa, w wysokim z zagiętemi brzegami kapeluszu, w czerwonych pończochach i w trzewikach z kokardami na wysokich korkach, zdawał się bydź naczelnikiem całéy gromady. — Dziwne te osoby wydały się Rypowi figurami ze starego flamandzkiego obrazu, który ieszcze podczas pierwszego zakładania osady z Hollandyi przywieziony, dotąd w wielkiéy izbie Dominika van-Szeka, iednego z mieszkańców wioski, wisiał na ścianie.

Lecz to naybardziéy zadziwiało Rypa, że wszyscy ci ludzie z widocznêm upodobaniem bawiący się kręglami, ciągle

mieli poważne twarze i uroczyste zachowywali milczenie — Nigdy zapewne Ryp nie widział tak smutnéy graczów gromady. Nic nie przerywało ciszy, oprócz huku kul kręglowych, a odgłos w górach powtórzony czynił go podobnym do głuchego grzmotu.

Kiedy Ryp ze swoim towarzyszem zbliżył się do nich, natychmiast wszyscy grę porzucili i poglądali na niego tak obłąkanym, tak dzikim i martwym wzrokiem, że się biednemu Rypowi serce przewróciło i kolana iedno o drugie stukały. Starzec ze swoiéy beczułki natoczył trunku w obszerne kufle i dał znak Rypowi, żeby wypił razem z drugiemi. Ryp spełnił, to ze strachem i drżeniem; wszyscy także w głębokiém milczeniu wychylili swoie czary, i znowu do gry wrócili.

Zwolna trwoga i nieufność Rypa zmnieyszać się zaczęły i nawet, kiedy na niego nie patrzono, przylewał sobie napoiu, który mu wybornie smakował. Miał on skłonność do zgagi, dla tego musiał często odwilżać gardło, a w takowym razie każde łyknienie drugie za sobą pociąga. Nakoniec Ryp tak często zaczął całować się z kuflem, że się iego zmysły odurzyły, oczy iakby pływały po całéy przestrzeni, głowa coraz się mocniéy chwiała, i nie długo zasnął snem twardym.

(Dokończenie nastąpi.)

II.

LITETATURA.

Rzut oka na literaturę Rossyyską.

Wyciąg ze wstępu objaśniaiącego Atlas etnograficzny kuli ziemskiéy, *przez Adryana Balbi*, w Paryżu, u księgarzy Reya i Graviera 1826.

(Ciąg dalszy.)

Cesarzowéy Katarzynie nie dość było na tém, ażeby władzą tylko swoią nauki wspierała, sama własnym przykładem lubiła zachęcać do pracy, uczonych i literatów. Tak owocem zabawy towarzystwa Cesarzowéy w iednéy z iéy podróży, był przekład Belizara, którego ieden rozdział sama Monarchini wypracowała. Pomiędzy różnemi iéy własnemi płodami literackiemi, nie można pominąć milczeniem iéy p a m i ę t n i k ó w d o t y c z ą c y c h s i ę h i s t o r y i r o s s y y s k i é y. Aż do czasów Katarzyny historya narodowa była uważaną za taiemnicę stanu. Miała przed nią Rossya wielu kronikarzy a nawet i niektórych dzieiopisarzy, iakiemi byli Chilków i Tatyszczew; lecz dzieła ich nie były drukowane. Ona to poleciła uczonym Millerowi i *Szlecerowi*, dzieł tych wydanie, ona to sama zebrała materyały dla przyszłych dzieiopisarzów przydatne, i zachęciła nadto Czerbatowa, Bołtina i Golikowa do zaięcia się napisaniem dzieiów kraiu swoiego.

Co się tycze właściwéy literatury, w ciągu panowania Katarzyny (od r. 1762 do r. 1796) dwie iéy epoki rozróżniać potrzeba. Pierwsza, i ta szczęśliwie naydłuższa, zasięgała ieszcze zgonu Łomonosowa i Sumarokowa i wydała mnóstwo autorów, któremi naród sprawiedliwie zaszczycać się może. Druga, poczynaiąc się w ostatnich latach tego panowania, rozciąga się aż do pierwszych lat panowania Cesarza Alexandra I. Ten przeciąg czasu 15letni pamiętnym iuż iest z tego względu, że wszystkim pisarzom rossyyskim służy za przykład przestrzegaiący, iż ktokolwiek z drogi wskazanéy przez wielkiego Łomonosowa zboczyć się poważy, ten wkrótce w błędne bezdroża nieochybnie wpadnie.

Względem tych dwóch epok udzielamy tu szczegółów niektórych iak następuie:

Łomonosow umieraiąc zostawił w spadku lirę swoię Petrowi. Pisarz ten, nie tak do-

brze iak poprzednik iego, władać umiał ięzykiem. Smak iego mylił się często w wyborze wyrazów; ucho iego nie zawsze go przestrzegało o trwaniu głosu, który się z liry iego wymykał. Lecz on więcéy nadał rozmaitości kształtowi swoiéy ody; śpiewał także i znakomitsze czyny swoich spółobywateli. Tak otwieraiąc sobie rozległeyszy zawód, znalazł nowe źródła poetycznych uczuć i pomysłów. Jakoż zdaie się, że muza iego częściéy przeiętą była zapałem lirycznym, i wiersze iego iaśnieią nowością i energią obrazów. — Wspomniemy poniżéy o iego przekładzie Eneidy, który mu tyle co iego liryczne poezye przynosi zaszczytu. Umarł w roku 1799 w wieku lat 63.

Petrow miał przeciwnika strasznego w Derżawinie, którego wychowanie na nieszczęście było zaniedbaném. Mówią iż on przez czas długi pisał wiersze, w których prawidła wersyfikacyi wcale zachowane nie były. Wkrótce przecie czytanie i towarzystwo ukształciły Derżawina, lecz nigdy iuż nie zatarł się w nim ślad braku nauki prawidłowéy; to zaś szczególniéy spostrzegać się daie w ostatnich iego utworach, gdy iuż wiek był począł przytłumiać płomień geniuszu. Tak przeto, chociaż umarł w r. 1816 maiąc lat 73, można iednakże o nim powiedzieć, iż iako poeta dawno iuż przed tém nieistniał. Pomimo téy wady, czego przecie własnéy iego winie przypisywać nie można, zaymuie zawsze Derżawin pierwsze mieysce na parnasie rossyyskim. Charakterystyczną iego własnością iest ta obfitość wyobraźni, któréy właśnie iest skutkiem, iż ody iego są tylko samym zbiorem obrazów naypowabnieyszych i prawdziwie poetycznych. Tak n. p. zaczyna odę swoię na urodzenie Cesarza Alexandra opisaniem spustoszeń poczynionych przez Boreusza. Ponieważ Monarcha ten urodził się prawie w tym czasie, kiedy słońce znak iednorożca opuszcza i do równika się zbliża, poeta przeto korzystaiąc z tego, mówi: że z urodzeniem iego słońce zwróciło się do wiosny i przyrodzenie nowe życie powzięło. Daléy opisuie różnych geniuszów, które schodząc z nieba, przyozdabiaią nowo narodzonego we wszystkie przymioty potrzebne do ukształcenia dobrego pana ludów. Kończy zaś tę odę przedstawieniem Rossyi, która klęcząc przyymuie w objęcia swoie dziecię ulubione i za iego przyszłość modły wznosi do Boga. Naypięknieysze ody Derżawina tego są rodzaiu. Poeta ten położył ieszcze i tę zasługę, że umiał pięknym kształtem przyodziać obyczaiowość. W ogólności, poezye Derżawina są bardzo oryginalne, a to nie iest bynaymniéy małą zasługą w literaturze, która w ogólności prawie iest tylko naśladowniczą.

Mówiąc o poezyi lirycznéy téy epoki, musiemy tu wspomnieć także i o Kapniscie, Derżawina przyiacielu i naśladowniku. Nie ma on Derżawina geniuszu, ale praca i znaiomość literatury dawnéy i tegoczesnéy, wynagradzaią w nim nieiako to, czém go nie obdarzyła natura. Pisarz ten obciążony laty zakończył swóy zawód spokoyny, w oddaleniu od zgiełku światowego, w dobrach swoich r. 1813. W roku 1799 napisał komedyą p. t. Szyderstwo, o któréy poniżéy kilka słów powiemy. Doświadczał także sił swoich w rodzaiu tragicznym, lecz tu mniéy był szczęśliwy.

Poezya epiczna nie była także zaniedbaną w téy chwalebney epoce dla literatury rossyyskiéy.

Widzieliśmy iuż wyżéy, że Łomonosów pierwsze w tym rodzaiu poezyi czynił doświadczenia. Przeięty naywyższym uniesie-

niem dla wszystkiego cokolwiek Piotr Wielki uczynił, prace iego głosem poety pamięci późnieyszych wieków przesłać postanowił; lecz sam to uczuł zapewne, że przedmiot ten dla niego prawie równoczesny, zbytecznie ograniczał przestrzeń lotu poetyckiéy wyobraźni. Jakoż napisał dwie tylko pieśni tego poematu, który pomimo pięknego wiersza, cierpi na niepoetycznym wyborze przedmiotu.

Cheraskow ośmielił się puścić tą drogą w którą się był Łomonosow zabłąkał. Pisarz ten pracowity wydał w ciągu długiego życia swego (1733 — 1807) rozmaite poemata, z których przytoczymy tu tylko Rossjadę w dwunastu i Włodzimierza w ośmnastu pieśniach. Przedmiotem Rossjady iest podbicie Kazanu przez Cara Jana IV, a Włodzimierza, zaprowadzenie religii Chrześciańskiéy w Rossyi przez Xiążęcia tegoż imienia. Obadwa te poemata były wychwalane przez spółczesnych, tak dalece, że porównano ie ze wszystkiém cokolwiek było naylepszém w rodzaiu epopei u starożytnych, lecz potomność iuż ie oceniła według właściwéy ich wartości; a ztąd wynikło, że literatura rossyyska nie posiada ieszcze właściwie poezyi epicznéy. Inne dalsze pisma Cheraskowa tak w wiązanéy iako i niewiązanéy mowie temuż samemu losowi uległy.

W tymże właśnie czasie, kiedy poezye Cheraskowa tak powszechne zrobiły wrażenie, zjawiły się także i przekłady Eneidy przez Petrowa, i pierwszych sześciu pieśni Iliady przez Kostrowa. Przekłady te zimno przyięte zostały przez spółczesnych, lecz potomność również tego sądu nie zatwierdziła. Jakkolwiek zdaie się, że w Rossyi klassa ludzi oświeconych, nie wątpi iuż dzisiay, iż wiersz Alexandryiski nie może wcale zastąpić dostatecznie hexametru starożytnych, niemniéy przecie przekłady te zginą chyba razem z ięzykiem rossyiskim. Zaprawdę, poczynione przez nas uwagi we względzie od Petrowa, mogą bydź, i z większém ieszcze prawém, zastósowane i do przekładu Eneidy, a nawet i do przełożonych pieśni Iliady, które także od tych zarzutów nie są zupełnie wolne; lecz moc ich stylu, usuwa snadnie zpamięci niektóre wyrażenia przytwarde i mało harmoniyne. W ostatnich czasach wynaleziono dalszy ciąg przekładu Iliady przez Kostrowa aż do połowy pieśni dziewiątéy. Prawdziwi znawcy uważali odkrycie to iako ważną zdobycz dla literatury rossyiskiéy.

(Dokończenie nastąpi.)

NADZIEJA. (z Szyllera)

Ludzie i mówią i marzą wiele,
Lepszość dni przyszłych roiąc z powicia
Ci iak na fali, w żegludze życia
Płyną i gonią szczęśliwsze cele.
Swiat raz zstarzały, znowu młodnieie,
Człek zawsze lepsze karmi nadzieie.

Ta u bram życia wskazuie mu wieńce,
Ona iak cacko igra przy piastunie;
Jéy czarodzieyski blask ślepi młodzieńce,
Z nią i zgrzybiałość zamyka się w trunie.
Bo choć do grobu zstępuie z kolei,
Jeszcze na grobie szczepi kwiat nadziei.

Och! ta myśl nie iest zwodnicza i dzika,
Wylęgła gdzieś tam na mózgu wietrznika!
W sercu przeczucie objawia się wieszcze,
Na lepsze Bóg tu zachował człowieka:
Ciało okrzepnie, życie ucieka,
Żyiąca dusza spodziewa się ieszcze.

Julian Korsak.
(z Dz. Wilen.)